Kraków, 26-go Września 1908 r.

Rok 4. Nr. 20.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 39 „Prawdy."

POKUSA.

I.

Był sobie król, który miał bardzo rozległe królestwo, a w niem lasy zwierza pełne, jeziora i rzeki rybne, złote łany pszeniczne i łąki kwieciste. W królestwie też onem były góry wysokie, a w tych górach kopalnie złota, srebra i drogich kamieni. Jednem słowem, ten król był bogacz wielki, a i jego poddani nie byli biedni, mieli się dobrze, a nawet, rzec można, opływali we wszystko.

Kiedy jednak ludziom na niczem nie zbywa i zanadto dobrze im się powodzi, to często różne złe myśli przychodzą im do głowy. Taka to już ułomna ludzka natura. Działo się też tak w onem królestwie. Mieszkańcy, zamiast żyć w zgodzie, Stwórcę chwalić, swego króla miłować, biedniejszym dobrze czynić, swarzyli się bezustannie, Pana Boga kłótniami obrażali, dobrego króla martwili srodze a na nędzę bliźnich mieli zatwardziałe serce.

Widział to cnotliwy król i ubolewał nad tem wielce, bo jako w sobie miał jeno same szlachetne porywy, tak byłby chciał i w poddanych swoich nie widzieć nic złego.

— Coby tu robić, żeby ludzi poprawić? — mawiał nieraz, targując z frasunku swą siwą brodę — Czy jest sposób, aby ludzie byli dobrzy, pobożni, miłosierni i wdzięczni? Czyż zawsze zła myśl będzie dobrą zwyciężała?... Coby tu robić? Coby na to poradzić?...

Razu jednego, ciężko strapiony, dumając tak właśnie, poszedł do zielonego lasu, usiadł pod szumiącym dębem i medytował głęboko, a ręce z żałości łamał.

Siedzi, siedzi, duma i różne myśli snują mu się po głowie, różne sposoby na poprawienie ludzi, a sam nie wie, który z tych sposobów będzie dobry i skuteczny.

Wsparł siwą głowę na ręku, przymrużył oczy z wielkiego myślenia i byłby tak może do wieczora przesiedział, gdy wtem usłyszał szelest liści opadłych i wyraźny chód ludzki. Ocknął się, spojrzał i zobaczył człowieka małego wzrostu, w dziwnym stroju i o dziwnej jakiejś twarzy, z brodą do ziemi, który w te odezwał się słowa:

— Królu i panie, czemu jesteś taki smutny? Masz piękne królestwo, mlekiem i miodem płynące, na co ci więc frasunek?

Król zrazu nie chciał nieznajomemu człowiekowi odpowiadać, bo to nie zgadzało się z jego godnością królewską, ale potem pomyślał sobie:

— Może ten człowieczek co mądrego mi poradzi... E, co tam, powiem mu wszystko szczerze.

Jak postanowił, tak zrobił.

Dziwny ów nieznajomy wysłuchał z uwagą królewskiego opowiadania, a gdy król skończył, tak odrzekł:

— Królu i panie! Jest sposób na twój wielki smutek. Czy wiesz czemu ludzie w twojem królestwie są źli i grzeszni? Oto dlatego, że ze zbyt wielkiego dostatku stali się leniwi, nie lubią i nie potrzebują pracować, a gdzie Próżniactwo, tam zaraz przychodzi Pokusa i do złego namawia... Oj! ta Pokusa! Znam ci ja ją dobrze. Piękna ona, jak dzionek majowy, każdego otumanić potrafi, wszędzie się wciśnie i wszędzie jej drzwi otwierają na roścież. Chodzi ona po świecie i ludzi nęci ku sobie i do złego namawia, a najczęściej tam przebywa, gdzie ludzie pracować nie chcą. Lubi ona bardzo Lenistwo, Próżniactwo, a nie cierpi Pracy i jej braciszka, Trudu. W twojem królestwie, królu i panie, bardzo często przebywa, bo ludzie jej tu niezmiernie radzi, a ona broi po swojemu i złe myśli nasuwa.

— Dobry człowieczku — odpowie zdumiony król, — nie znam ciebie, ale mówisz jakoś bardzo rozumnie, choć jesteś taki mały i niepozorny. Czy jest na to sposób, aby usuwając zło mój smutek zmniejszyć? Jeżeli zdołasz mi w tem poradzić, spodziewaj się królewskiej ode mnie nagrody.

— Królu i panie! Mam ci ja takie ziołko, że, gdy je kto powącha, to spać będzie snem twardym przez lata całe. Jeżeli chcesz, uśpię Pokusę i nie będzie twego królestwa nawiedzała. Bez ciebie jednak, bez twej pomocy, dokonać tego nie potrafię. Musisz się o to postarać, aby jutro wszyscy twoi poddani, od dziecka do starca, zajęci byli ciężką pracą; Pokusa opuści królestwo natychmiast, a ja w lesie przy kopcu granicznym czekać będę na nią z usypiającem ziółkiem.

Uradował się wielce król, nieznajomego człowieka zabrał ze sobą do królewskiego pałacu, nakarmił, napoił, koniem ze złotym rzędem obdarzył, a do siodła nadto cały wór pieniędzy przytroczyć kazał. Wysłał też gońców po całem królestwie, aby nazajutrz ze świtem wszyscy poddani, od dzieci pięcioletnich do starców, zebrali się przy Kamiennej Górze i tam oczekiwali rozkazu królewskiego.

Maleńki nieznajomy, uradowany wielce z tak znacznego podarunku, bardzo kontent odjechał na pięknym siwku, a król wesół położył się spać, bo pełen nadziei, że od jutra wszystko się zmieni w jego państwie i ludzie wszyscy staną się dobrzy i cnotliwi.

Nazajutrz o wschodzie słońca wstał król, ubrał się w swe królewskie szaty i pojechał do Kamienej góry. Ludzi była tam ciżba. Król kazał kamienie z onej góry brać, mężczyznom je tłuc i rozbijać, a kobietom i dzieciom nosić na szeroki gościniec.

Robota ta była zmudna i ciężka. Słońce, podnosząc się na niebie, rzucało ognisty żar, paliło głowy pracujących, których barki zginały się od trudu, a czoła oblewały potem rzęsistym.

Choć słońce srodze dogrzewało, król jednak dzień cały pomiędzy pracującymi chodził i pilnie baczył, aby nikt nie próżnował.

(Dokończenie nastąpi.)

ORACZ.

Wyszedł oracz, wyszedł w pole,
Karmicielkę orać rolę,
Konik w pługu wypasiony,
Pług na świeżo wyostrzony
Pruje ziemię, kraje, niby
Brzytwa równe czarne skiby
Kraje zagon po zagonie,
A na niebie słonko płonie,
Świeci pięknie, dobrze grzeje
I pozwala mieć nadzieję,
Że gdy w ową ziemię czarną
Siewca rzuci pszenne ziarno,



A gdy deszczyk jeszcze spadnie —
To wyrośnie zboże ładnie
I wystrzelą w górę kłosy,
I zadzwonią sierpy, kosy,
I zanucą śpiew żniwiarze,
Na dożynki niosąc w darze.
Z tego zboża złoty wieniec
Do zagrody na dziedziniec!
Wyszedł oracz, wyszedł w pole
Karmicielkę orać rolę,
— Wio! koniku, wciąż pogania,
Zboczyć z drogi mu zabrania!

Konik raźno sobie kroczy
Pracowity i ochoczy!
Znać, że w pługu chodzić umie!
Kto wie! Może i rozumie
To szlachetne, dobre zwierze,
Że pracować trzeba szczerze
Bez przymusu, z dobrej woli,
Gdy się pragnie lepszej doli!

T. Zawiejski.

Lis i winogrona.

Było to w jesieni. Po nocy chłodnej wschodził szary poranek, otulał ziemię w mgły gęste, białawe i rozrzucał po polach lśniące krople rosy.

Cisza panowała dokoła. Aż gdzieś w oddali nieśmiało zakwilił skowronek a za tym hasłem najrańszego ptaszka, zaczęła budzić się ze snu cała przyroda. W powietrzu kędyś wrona przeleciała ze smutnem, jękliwem kra, kra, a w sadzie zatrzepotała się sroka wśród gruszy rozłożystej, krzycząc przeraźliwie: cze, cze, cze! Gdzieś w stajni koń zarżał, krowy porykiwały, oczekując posiłku rannego — i znów cisza.

Aż tu od wsi przez pola idzie lis; chyłkiem to w bruździe się przyczai, to przez zagon smyrgnie, to w rów uskoczy — ot jak ktoś, co pragnie, aby go nikt nie ujrzał. Wiadomo, lis niechętnie się ukazuje, bo wie, że ani wśród zwierząt, ani wśród ludzi nie ma przyjaciół, jako zwykle taki, co żyje z kradzieży a posiłkuje się kłamstwem a chytrością.

Dziś nasz lis tem mniej sobie życzy spotkania z kimkolwiek, albowiem wracał z nocnej wycieczki do swej nory zły i struty. Nie udały mu się łowy tej nocy. Kurniki i gołębniki we wsi pozawierane były tak, że chybaby je dynamitem otwierać, albo armatą a nie słabemi łapami; gniazd ptasich w polu nie ujrzysz, wszystko to się het precz porozlatywało, albo siedzi to sobie wysoko po gałęziach, gdzie chyba te szelmy kuny wyłapią co najlepsze,

a ty biedny lisku łapy oblizuj, a ślinkę łykaj. Ha, źle na świecie i tyle.

Tak sobie rozmyślał lis o swojej niedoli, westchnął ciężko i raz jeszcze rozejrzał się wokoło, czy też nie ukaże się oczom jego coś takiego, coby warto był wziąć na ząb.

Znajdował się za wsią, w pośród pagórków, na których stokach rozpościerały się bujne winnice. Gąszcz tam był taki, jak w lesie; hej, hej, a może tam dziś nocowała ta przemądrzała, ruda kuropatwa, co go to już tyle razy oszukała haniebnie, smyrgając ze swemi młódkami w kolczasty łubin, gdy właśnie co tylko miał chwycić jedną z nich za skrzydło.

— Zeby jej wnętrzności poskręcało — mruknął ze złością i wpadł między krzewy winogradu, prawie pewnym będąc, że zastanie tam jeszcze kuropatwy we śnie pogrążone.

Ale, szukaj wiatru w polu! Biegało lisisko, jak wściekłe, ale nic nie znalazło. Ha, nie ma co¡ Trzeba iść do nory, legnąć w kącie i przespać ten dzień na głodno; może na przyszłą noc lepiej się poszczęści.

Wtem wpadły mu w oko grona jagód winnych.

— Możeby spróbować tego — myśli sobie lis — wprawdzie nigdym jeszcze nie jadł winogron, boć z dziada, pradziada idzie wieść pomiędzy lisami, że to paskudztwo, z którego nawet truciznę jakąś ród ludzki fabrykuje, której, gdy się napiją, na rozumie nawet szwank ponoszą; — no, żeby nie ta przemądrzała ruda kwoka, anibym spojrzał na te grona, choć się aże uśmiechają do mnie, ale, jak mówi przysłowie: „na bezrybiu i rak rybą“.

— Trochę, coprawda, wysoko wiszą te gronka, żółciuchne jak złoto, ale to nic — skakać przecież umiem dobrze.

To mówiąc, obszedł lis wokoło krzewu, zmierzył dobrze oczyma wysokość, potem cofnął się o kilka kroków, odsadził się i — szust!

— He, he, he, he! — rozległ się śmiech szyderczy wysoko wśród gałęzi, bo lis nie doskoczył do winogron, lecz klapnął jak długi pod krzewem.

Myślał nieborak, że go nikt nie widział, jak się do winogron umizgał, a tymczasem widziała go sroka, boć przed tą wścibską nic się nie ukryje.

— He, he, he! — zaśmiała się sroka jeszcze raz i siadłszy na gałęzi winogradu naigrywała się z przygody lisa.

Ten zawstydził się niepomiernie, lecz jako zawsze kłamstwo miał w ustach na zawołanie, tak i teraz.

— Chciałem skosztować winogron — rzekł głośno, aby go wszyscy słyszeli — ale widzę, że są dla mnie za kwaśne.

— He, he, he — śmiała się sroka — za kwaśne lisowi winogrona, za kwaśne! — I poleciała dalej z tą zabawną nowiną. Opowiedziała ją gadatliwym kawkom, które mieszkały na kościelnej wieży; te opowiedziały ją wiewiórce, ta szepnęła to dzierlatce, ta znów trznadlom i zanim słońce na południu stanęło, już wszystkie wróble na dachach o tem śpiewały.

I wszyscy do rozpuku śmiali się z lisa, że nie udało mu się dostać winogron, a on udawał, że ich nie chciał dlatego, że za kwaśne.

W końcu i ludzie dowiedzieli się o tej przygodzie lisa i teraz, gdy kto nie uzyska tego, czego pragnie a on zamiast otwarcie przyznać się do tego, kłamliwie udaje, że sobie z tego nic nie robi — tedy ludzie zaraz mu przypomną lisa i mówią: „za kwaśne ci winogrona, za kwaśne!“ A z tego ta jest nauka, że należy postępować zawsze otwarcie i szczerze, a wtedy nikt się z nas naśmiewać ani naigrawać nie będzie, choćby nam się zamiary nasze nie udały.

PIĘKNY PRZYKŁAD.

Ksiądz Piotr skarga, słynny wielkim rozumem i wielkiem sercem mąż, miłował cnotę, to też z ambony upominał ostro tych, którzy zasługiwali na naganę, nie zważając na położenie towarzyskie winowajcy. Jednak upomnienie kapłańskie nie wszystkich wiodło do poprawy. Znaleźli się nawet lu-

dzie twardzi, niepoprawni, którzy gniewali się na Skargę, za to, że ich karcił z ambony.

Zdarzyło się razu pewnego, że gdy poważny kapłan wracał wieczorem do domu, spotkał w drodze dworzanina, którego pan niechętnym okiem spozierał na prawdomownego kapłana. Niechęć swego pana, podzielał spotkany przez Skargę dworzanin, który ujrzawszy zacnego kapłana począł obrzucać go obelżywemi wyrazami. A gdy mąż święty znosił obrazę w milczeniu, niegodziwy dworzanin zapomniał się do tego stopnia, że księdza Skargę uderzył w twarz. Zniewaga, jakiej doznał mąż święty, narobiła wielkiego rozgłosu. Pochwycono winowajcę i oddano w ręce sprawiedliwości, aby nie minęła zuchwalca zasłużona surowa kara. A w owych czasach za podobny występek karano śmiercią, lub odjęciem tej ręki, która dopuściła się hańbiącego czynu.

Winowajca oczekiwał najsurowszej kary, gdyż czyn jego niegodziwy, znieważający szanownego męża, uważano powszechnie za zbrodnię krzyczącą, zasługującą na surową karę, ale kara ta nie została wymierzoną, bo od niej wyprosił go Piotr Skarga.

Winowajca upokorzony i wzruszony szlachetnością zacnego kapłana, dziękował na klęczkach dobrodziejowi swemu za przebaczenie, i uratowanie życie.

Ksiądz Skarga głosem dobrotliwym kazał klęczącemu powstać, poczem upomniał go łagodnie, aby dalszem uczciwem życiem zmazał ze siebie czyn hańbiący.

Dobrze czynić, lecz tem się nie chwalić.

Sadi, mędrzec perski, siedział wieczorem nad książką, pilnie czytając. Gdy po długiem czytaniu podniósł oczy od książki, spostrzegł, że dwaj jego synowie spali; trzeci zaś rzekł zadowolony sam z siebie: „Patrz ojcze, jak ci śpią, a ja — się modlę!“ — Mójsynu, odpowiedział ojciec, lepiej jest spać, niż chełpić się z dobrych uczynków.